

Bartłomiej Kozłowski

Słowa jak pociski?

Na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się niedawno artykuł Romana Imielskiego „Niebezpieczne polowanie na Owsiaka”. Jego autor, odwołując się do niedawnych ataków na szefa WOŚP i zabójstwa Pawła Adamowicza napisał w nim, że „słowa są jak pociski – napędzają nienawiść i potrafią doprowadzić do fizycznych ran”. Czy da się jednak coś takiego w sposób poważny twierdzić? Otóż myślę, że to, co napisał Roman Imielski nie jest w jakiś prosty sposób nieprawdziwe. Nie ulega praktycznej wątpliwości, że słowa się mogą przyczyniać do złych rzeczy, a nawet, że niektóre złe rzeczy – np. pewne przestępcze zachowania - bez pewnych słów, dodajmy do tego, że wcale niekoniecznie słów „nienawistnych” w praktyce nie miałyby się szansa zdarzyć. Czy np. niejacy Francisco Lotero i Miriam Coletti, którzy w lutym 2010 r. w Argentynie ze strachu przed globalnym ociepleniem (tak wynikało z listu pożegnalnego znalezione przy ich zwłokach) zabili jedno ze swych małych dzieci, próbowali zamordować drugie i strzelili sobie w łeb dokonaliby swoich zbrodniczych czynów, gdyby nie nasłuchali bądź nie naczytali się jakichś wypowiedzi mówiących o globalnym ociepleniu i jego potencjalnie możliwych skutkach? To chyba jest pytanie retoryczne, gdyż człowiek na podstawie po prostu na podstawie wyłącznie bezpośredniej obserwacji tego, co mając oczy widzi w swym otoczeniu nie ma szans dojść do wniosku, że średnia temperatura powietrza (a także wody) na Ziemi się podnosi, i że może to prowadzić do katastrofalnych konsekwencji. Gdyby się przez chwilę zastanowić, to łatwo można dojść do wniosku, że jednym z najbardziej niebezpiecznych, w sensie zdolności przyczyniania się do aktów przemocy, rodzajów wypowiedzi są rozpowszechniane w mediach (w tym w internecie) prawdziwe informacje o bulwersujących opinię publiczną zdarzeniach. W tym akurat kontekście zadajmy sobie pewne pytania, np. takie: czy do fali podpaleń kościołów, jaka miała miejsce w Kanadzie w lecie 2021 r. mogłoby dojść, gdyby kanadyjska opinia publiczna nie została wstrząśnięta doniesieniami o odkryciach grobów indiańskich dzieci na terenach prowadzonych niegdyś przez instytucje wyznaniowe tzw. szkół rezydencjalnych i informacjami o tym, jak dzieci te były w tych szkołach traktowane? Bądź takie: czy rozruchy w wielu amerykańskich miastach, a także w Belgii, Wielkiej Brytanii i we Francji, do jakich doszło w 2020 r. po śmierci uduszonego przez białego policjanta Dereka Chauvine’a Afroamerykanina George’a Floyda – w wyniku których wyrządzone zostały straty w wysokości od 1 do 2 mld dolarów i w których następstwie w ciągu kilkunastu dni zginęło 19 osób - mogłyby się zdarzyć, gdyby informacja o tym, co stało się w Minneapolis nie została upubliczniona w mediach? To znów, są pytania retoryczne; problem jest z tym, że wypowiedzi, które do tych (czy podobnych do nich) zdarzeń musiały się przyczynić należą do tych, których przypuszczalnie najmniej ludzi, przynajmniej w demokratycznych krajach, chciałoby zakazać.

Słowa mogą więc przyczyniać się do przemocy, choć raczej nie prowadzą do niej tak, jak wystrzeliwane z broni palnej pociski – tzw. teoria magicznej kuli, czy też – taka nazwa również funkcjonowała - „podskórnej igły” według której media, czyli w XX wieku prasa, radio, telewizja i kino, a obecnie także internet wstrzeliwują przekazy w głowy nie mogących

oprzeć się tym przekazom odbiorców, co prowadzi do zmian w ich psychice i zachowaniach już dawno straciła estymę wśród specjalistów w dziedzinie teorii komunikacji. Lecz również zwalczanie słów, cenzurowanie ich czy też karanie za słowa (czy inne akty ekspresji – np. za tzw. wypowiedzi symboliczne) może przyczyniać się do działań, którym zwolennicy zakazów wypowiedzi chcieliby przy użyciu popieranych przez nich ograniczeń wolności słowa zapobiec. Jakby nie było, w krajach w których tzw. „mowa nienawiści” – w sensie wypowiedzi obrażających grupy społeczne wyróżniające się takimi cechami, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa, czy (np.) orientacja seksualna i/lub zachęcających do wrogiego nastawienia wobec takich grup jest prawnie zakazana tzw. przestępstw z nienawiści, czyli aktów fizycznej przemocy przeciwko osobom, przestępstw przeciwko mieniu (np. wandalizmu), czy przypadków zastraszania osób należących do grup prawnie chronionych przed hejtspiczem jest per capita więcej (nieraz ileś razy), niż w USA, gdzie „mowa nienawiści” generalnie rzecz biorąc nie jest karalna – pisałem o tym niedawno, powołując się na dane pochodzące ze strony <https://hatecrime.osce.org/hate-crime-data>, w swym tekście (zob. [tu](#)). Warto też dodać, że w USA, gdzie nie tylko nie jest karalne znieważenie takiej czy innej grupy ludności (stanowiące w Polsce przestępstwo, o ile chodzi o grupę narodowościową, etniczną, rasową, wyznaniową bądź charakteryzującą się bezwyznaniowością), czy też „nawoływanie do nienawiści” – a więc, jakby nie było, wciąż tylko emocji, dotyczącej takiej grupy, ale też nawoływanie do przemocy czy w ogóle popełnienia przestępstwa – chyba, że ma ono na celu wzniecenie natychmiastowego działania zakazanego prawem i zachodzi ono w takiej sytuacji, w jakiej wzniecenie takiego właśnie natychmiastowego bezprawnego działania jest prawdopodobne przestępstw o charakterze terrorystycznym w latach 1970 – 2021 było proporcjonalnie do liczby ludności tego kraju dużo mniej, niż w pod wieloma względami podobnych, ale nie zapewniających tak szerokiego zakresu wolności słowa krajach, takich np. jak Wielka Brytania, Francja, czy Niemcy; warto przy okazji zauważyć, że liczba aktów terroru w USA radykalnie zmniejszyła się w latach 1970 – 1973 (od 468 do 58), a więc niedługo (choć nie natychmiast) po tym, jak Sąd Najwyższy USA w wydanym w 1969 r. orzeczeniu w sprawie Brandenburg v. Ohio we wspomniany tu wcześniej sposób ograniczył, na podstawie I Poprawki do Konstytucji, możliwość karania za wypowiedzi propagujące przestępczą działalność (wynika to z danych przedstawionych na stronie <https://ourworldindata.org/terrorism>). W każdym razie, jak w swoim artykule „[How Censorship Crosses Borders](#)” napisał duński prawnik i obrońca wolności słowa Jacob Mchangama, odwołując się przy tym do przeprowadzonego z pomocą politologa Rasmusa Fonnesbaeka Andersena przeglądu wielu badań i oryginalnych baz danych „*niektóre z najczęściej wyrażanych obaw dotyczących wolności słowa – takie jak jej potencjalny szkodliwy wpływ na konflikty społeczne (w tym ludobójstwo), radykalizację i terroryzm – nie są poparte dowodami. Jedyne w najbardziej zamkniętych społeczeństwach świata znajdujemy dowody na to, że rozluźnienie cenzury może zaostrzyć istniejące konflikty. W przypadku reszty świata stwierdzamy negatywny związek między ochroną wolności słowa a konfliktami społecznymi. Dowody sugerują zatem, że szeroko rozpowszechniona narracja charakteryzująca nieokielznaną wolność słowa jako katalizator konfliktów religijnych, a nawet ludobójstwa, jest w najlepszym razie pozbawiona niuansów*”.

Tak więc, nie ma się co przesadnie obawiać, że negatywne wypowiedzi o Jurku Owsiaku i WOŚP – poniekąd będące, zważywszy na to, ile ten człowiek i kierowana przez niego fundacja dobrego robią, przykrym i smutnym, a zarazem po swojemu ciekawym zjawiskiem społecznym doprowadzą do jakiegoś zbrodniczego działania, choć coś takiego nie jest oczywiście po prostu wykluczone (warto tu zauważyć, że w sprawie takich wypowiedzi zostało wszczęte dochodzenie w sprawie o przestępstwo publicznego „nawoływania do nienawiści” co jest co najmniej ryzykownym pomysłem, jeżeli miałyby ono doprowadzić kogoś do ukarania za takie wypowiedzi, jako że „nawoływanie do nienawiści” zgodnie z art. 256 par. 1 k.k. stanowi przestępstwo tylko wówczas, gdy ma ono miejsce „na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” – a przecież negatywne wypowiedzi o Owsiaku i WOŚP nawet jeżeli dałoby się je uznać za „nawoływanie do nienawiści”, to na pewno nie za nawoływanie do nienawiści na tle wspomnianych w k.k. rodzajów różnic między ludźmi). Ale, jak już wspomniałem, do groźnych, przestępczych czynów mogą przyczyniać się wypowiedzi nie będące żadną „mową nienawiści” (ani też np. nawoływaniem do popełnienia przestępstwa) i w ogóle wydające się czymś nieszkodliwym. I tak np. pewien młody człowiek, który w 2017 r. podpalił biuro poselskie posłanki PiS Beaty Kempy odpowiadając na pytanie śledczych, co skłoniło go do dokonania tego wysoce niebezpiecznego czynu stwierdził, że tym, co zmotywowało go do jego dokonania był sprzeciw wobec planowanych przez PiS zmian w ordynacji wyborczej – dodając przy tym, że osobiście nie czytał projektu rzeczonyj ustawy, lecz opierał się na opiniach posła PO Borysa Budki, a także polityków „Nowoczesnej” i PSL oraz dziennikarzy, którzy krytykowali ów projekt. Gdzieś pod koniec lat 50 XX wieku młody wówczas Niemiec Heinrich Pommerenke poszedł do jednego z kin w Karlsruhe na wyświetlany tam wówczas amerykański film „Dziesięcioro Przykazań”. Gdy w filmie tym zobaczył scenę, w której lekko ubrane Żydówki tańczą wokół Złotego Cielca, wszelkie jego wcześniejsze wątpliwości się nagle rozwiały: stało się dla niego jasne, że to kobiety są źródłem wszelkiego zła na świecie, a jego misją jest ich karanie i dokonywanie na nich egzekucji. Wyszedłszy z kina, Pommerenke w znajdującym się nieopodal parku zamordował przypadkowo spotkaną kobietę, a później dokonał jeszcze trzech zabójstw, dwunastu prób zabójstwa i dwudziestu gwałtów. We Włoszech w 2019 r. niejaki Ousseynou Sy, urodzony we Francji włoski obywatel o senegalskich korzeniach porwał, a następnie podpalił wiozący 53 osoby, w tym 50 uczniów autobus szkolny, którego był poniekąd kierowcą. Według dzieci, które na szczęście zostały uratowane przez błyskawicznie przybyłą na miejsce zdarzenia żandarmerię mężczyzna krzyczał „Chcę, żeby to się wreszcie skończyło, na Morzu Śródziemnym ludzie nie mogą więcej umierać” i powtarzał, że w Afryce giną ludzie z winy Luigi Di Maio i Matteo Salvini (w momencie zdarzenia premiera i wicepremiera Włoch i jednocześnie przywódców rządzących wówczas Włochami Ruchu 5 Gwiazd i Ligi Północnej). To szokujące przestępstwo (za które jego sprawca został skazany na 24 lata więzienia) też nie mogłoby się zdarzyć bez pewnych wypowiedzi: po pierwsze, praktycznie rzecz biorąc nie ulega wątpliwości, że Ousseynou Sy nie widział bezpośrednio, na własne oczy tonięcia łodzi z imigrantami w Morzu Śródziemnym, lecz dowiadywał się o takich zdarzeniach z mediów, po drugie, bez pośrednictwa mediów nie miałby on szansy wiedzieć o tym, że do tragicznych zdarzeń, przeciwko którym postanowił w przestępczy sposób zaprotestować przyczynili się włoski premier i wicepremier. Podobnie pewne wypowiedzi

musiały przyczynić się do morderstwa i próby morderstwa, popełnionych w październiku 2010 r. przez niejakiego Ryszarda Cybę w biurze poselskim PiS w Łodzi: trudno jest przecież przypuszczać, że bez usłyszenia i przeczytania czegoś Cyba mógłby się dowiedzieć o tym, że Lech Kaczyński, spóźnił się na samolot, i nie chcąc spóźnić się na uroczystości w Katyniu, doprowadził do jego katastrofy poprzez zmuszenie załogi samolotu do lądowania w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych i słabo wyposażonym lotnisku i jest też zupełnie oczywiste, że bez pośrednictwa w postaci pewnych wypowiedzi Cyba nie miałby żadnej wiedzy o czymś takim, jak Katastrofa Smoleńska, która – w połączeniu z przekonaniem, że doprowadził do niej prezydent Lech Kaczyński – wywołała u niego emocje, które doprowadziły go do popełnienia zbrodni. Dalej, u niejakiego Johna Lista, amerykańskiego księgowego i nauczyciela w szkółce niedzielnej, który w 1971 r. zamordował swych odchodzących w jego odczuciu od religijnego stylu życia bliskich (matkę, żonę i trójkę dzieci) chcąc uchronić ich dusze przed piekielnym ogniem, przekonania, które stały się podłożem popełnionej przez niego zbrodni nie mogły narodzić się inaczej, jak pod wpływem zawartych w Biblii (choć także np. w Koranie) i w nauczaniu kościołów przekazów, że istnieje coś takiego, jak niebo, gdzie dusze tych, którzy przestrzegali boskich przekazów cieszą się wiecznym szczęściem, oraz piekło, gdzie dusze grzeszników (a według nauczania np. religii katolickiej po Sądzie Ostatecznym także ich ciała) przez całą wieczność poddawane są niewyobrażalnym męczarniom. U innego zbrodniarza, jakim był powieszony w 1949 r. za 6 morderstw brytyjski „wampir” John George Haigh marzenia o mordowaniu ludzi i picciu ich krwi pojawiły się po raz pierwszy pod wpływem widoku ludzi przyjmujących Komunię Świętą. Do podsycania zbrodniczych żądz Haigha przyczyniało się też wpatrywanie się przez niego w obraz krwawiącego Chrystusa, wiszący w anglikańskiej katedrze w Weakefield: wrażenie, jakie robił na nim ten obraz było tak silne, że pod wpływem myśli o tym obrazie śnił mu się cały las krzyży, z których ktoś zbierał krew do kubka i chciał mu ją dać do picia, lecz zanim do tego ostatniego doszło, Haigh zawsze się budził. Niemożność zaspokojenia we śnie wywołanych w następstwie wpatrywania się we wspomniany obraz pragnień (do których mógł się też przyczynić fakt wychowania się Haigha w rodzinie należącej do tzw. Braci Plymouthskich – odłamu Kościoła Anglikańskiego, którego jedną z cech jest szczególny kult Krwi Chrystusa) potęgowała u niego chęć zaspokojenia ich „w realu”.

Jak zatem widać, wypowiedzi – nie tylko ustne, czy pisemne, lecz także te, które mają postać ruchomych czy też nieruchomych obrazów – potrafią czasem prowadzić do naprawd złych rzeczy. Lecz przecież te wypowiedzi, o których była tu mowa nie są czymś prawnie zakazanym, przynajmniej w krajach demokratycznych i generalnie rzecz biorąc szanujących prawa człowieka – w tym swobodę ekspresji. Uważa ktoś, że wypowiedzi te powinny zostać zakazane z tego powodu, że mogą się one czasem przyczyniać do naprawd zbrodniczych czynów? Przypuszczam, że niewielu ludzi udzieliłoby na to pytanie pozytywnej (a zwłaszcza konsekwentnie pozytywnej) odpowiedzi, lecz jeśli jacyś ludzie odpowiedzieliby na to pytanie „tak”, to powinni oni sobie zadać pytanie, gdzie jest granica, poza którą zakazy wypowiedzi – formułowane w tak zbożnych celach, jak zapobieganie przestępczym i wysoce niebezpiecznym działaniom – nie mogłyby się posunąć? Odnośnie tego pytania obawiam się, że nie dałoby się na nie odpowiedzieć w sposób pozwalający na praktyczne istnienie czegoś takiego, jak wolność słowa: jak w swoim artykule „Hate Speech and Pornography: Do We

Have to Choose between Freedom of Speech and Equality?” pisała Nadine Strossen (przewodnicząca American Civil Liberties Union w latach 1991 – 2008) „*gdybyśmy zakazali ekspresji wszelkich idei, które mogą prowadzić niektóre osoby do działań mogących mieć szkodliwy wpływ na tak nawet ważne interesy, jak bezpieczeństwo narodowe, czy bezpieczeństwo publiczne, to mało która idea byłaby bezpieczna i z pewnością nie byłaby bezpieczna żadna idea podważająca istniejące status quo*”. Sędzia Sądu Najwyższego USA Oliver Wendell Holmes w napisanym blisko 100 lat temu *votum separatum* w sprawie *Gitlow v. New York* ujął rzecz krótko: „*każda idea jest podżeganiem. Oferuje się do uwierzenia w nią i jeśli się w nią uwierzy, staje się podłożem działań, chyba, że jakaś inna wiara przeważy nad nią, bądź jakiś energii stłumi ruch w chwili jego narodzin. Jedyną różnicą między wyrażeniem opinii, a podżeganiem w węższym sensie jest entuzjazm mówcy co do rezultatu*” – i w oczywisty sposób nie chodziło mu o to, by zakazać (czy też otworzyć drogę do możliwości zakazania) szerzenia wszelkich idei czy opinii z tego względu, że są one „podżeganiem”. Jeżeli ktoś natomiast uważa, że takie jak wspomniane tu przeze mnie wypowiedzi nie powinny być zabronione (ci którzy uważają, że powinny, powinni – jak sądzę – zastanowić się np. nad tym, dlaczego nie powinno być zakazane produkowanie i używanie samochodów – ilu w końcu ludzi ginie lub zostaje rannych w wypadkach drogowych, których przecież nie byłoby bez istnienia samochodów?), lecz jednocześnie jest zdania, że zakazana powinna być np. „mowa nienawiści” (czy też np. wypowiedzi propagujące totalitarne ustroje lub ideologie) to powinien się zastanowić nad tym, czy jego myślenie na temat zakresu i granic wolności słowa jest w miarę choćby spójne i czy za pomocą argumentów, przy użyciu których można w sposób mający przysłowiowe ręce i nogi próbować uzasadnić zakazy wypowiedzi, które ten ktoś popiera (a więc np. argumentu, że wpływ „mowy nienawiści” na niektóre osoby prowadzi do wywoływania u tych osób nienawiści, która niekiedy staje się podłożem przemocy) nie można byłoby równie dobrze uzasadnić potencjalnych zakazów wypowiedzi, których ktoś taki by nie poparł, bądź nawet byłyby bardzo zdecydowanie przeciwko nim. Bo w końcu jeżeli argumentem za zakazem „hate speech” ma być to, że jej szerzenie zwiększa ona prawdopodobieństwo „hate crimes”, to przecież można też powiedzieć takie np. rzeczy, że przekonywanie ludzi do opinii, że aborcja jest strasznym złem – jeśli jest skuteczne - zwiększa prawdopodobieństwo napaści na lekarzy wykonujących zabiegi przerwania ciąży, podobnie, jak można byłoby twierdzić, że przekonywanie do opinii, że zakaz aborcji jest czymś nieludzkim i łamiącym podstawowe prawa człowieka zwiększa prawdopodobieństwo ataków na rzeczników zakazu przerywania ciąży. Równie dobrze można też powiedzieć, że mówienie i pisanie o potencjalnie katastrofalnych skutkach manipulacji genetycznych czy bio i nanotechnologii zwiększa prawdopodobieństwo ataków na laboratoria zajmujące się badaniami w dziedzinie genetyki lub bio i nanotechnologii, że mówienie i pisanie o cierpieniach zwierząt zabijanych na mięso i futra lub wykorzystywanych w laboratoryjnych doświadczeniach zwiększa prawdopodobieństwo ataków na rzeźnie czy laboratoria, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach i że porównywanie tego, co dzieje się w takich miejscach do hitlerowskich czy stalinowskich zbrodni jeszcze bardziej potęguje ryzyko takich czynów, podobnie, jak w absolutnie przekonujący sposób można twierdzić, że mówienie i pisanie o szkodliwości technologii 5G zwiększa ryzyko podpażeń masztów telefonii komórkowej faktycznie czy też rzekomo wykorzystujących tę technologię, jak również, że mówienie i pisanie o potencjalnie katastrofalnych skutkach globalnego ocieplenia

i przedstawianie samochodów typu SUV jako szczególnie przyczyniających się do tego zjawiska zwiększa prawdopodobieństwo podpalania SUV-ów, a dalej, że szerzenie opinii o śmiertelnym zagrożeniu środowiska naturalnego przez ludzką działalność zwiększa prawdopodobieństwo ekoterroryzmu i że głoszenie twierdzeń obciążających rząd za istnienie jakiegoś istotnego społecznego problemu zwiększa prawdopodobieństwo antyrządowych rozruchów. Jak zatem widać, przy użyciu argumentów, za pomocą których można we w miarę sensowny sposób próbować uzasadnić zakazy „mowy nienawiści” (choć nie tylko te – zakazy np. propagowania i pochwalania zachowań o charakterze pedofilskim, czy też zakazy np. pornografii przedstawiającej pozorowane sceny przemocy, bądź fikcyjne postacie nieletnich też wchodziłyby tu w rachubę, gdyż niewątpliwym celem istnienia tych zakazów – mniejsza o to, czy skutecznie przez nie osiąganym – jest zapobieganie pewnym przestępstwom) z powodzeniem można byłoby uzasadnić zakazy wypowiedzi, które dla znakomitej większości zwolenników zakazów hejtspiczu (podobnie, jak zwolenników zakazów pewnych rodzajów pornografii) ponad praktycznie wszelką wątpliwość byłyby nie do przyjęcia. Przy użyciu takiej argumentacji z powodzeniem można byłoby – chciałbym to zauważyć – uzasadnić zakaz wypowiedzi o charakterze antyfaszystowskim. Przepraszam bardzo, ale np. wyczyny „Antify”, takie, jak brutalne pobicia osób składających kwiaty na grobie przywódcy przedwojennej „Zadrugi” Jana Stachniuka 11 listopada 2005 r. na warszawskich Powązkach, osób jadących na tzw. marsz niepodległości w 2010 r. w Warszawie, czy też uczestników obchodów Dnia Żołnierzy Wyklętych w 2013 r. w Lublinie nie miałyby się szansa zdarzyć, gdyby ich bezpośredni sprawcy nie zostali przekonani do opinii o narastającym czy odradzającym się faszystowskim zagrożeniu, o tym, że dla osób o „faszystowskich” poglądach (rozumianych przez nich niezmiernie szeroko) nie może być tolerancji, nawet jeśli nie stosują one przemocy i do tego, że państwo jest wobec takich ludzi nadmiernie tolerancyjne lub zwyczajnie bezradne – czyli krótko mówiąc, do poglądów, jakie głoszą antyfaszystowskie i antyrasistowskie organizacje w rodzaju „Otwartej Rzeczypospolitej”, stowarzyszenia „Nigdy Więcej” czy „Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych”. Na sprawcę najokropniejszej w historii USA – przed zamachami z 11 września 2001 r. – zbrodni, jaką było wysadzenie budynku władz federalnych w Oklahoma City w kwietniu 1995 r. w niewątpliwie niebezpieczny sposób podziałała napisana przez niejakiego Jamesa Coatesa dokumentalna książka „Armed and Dangerous: The Rise of the Survivalist Right”. Książka ta, jak w opublikowanym w 1996 r. artykule „What’s Left?: Hate Speech, Pornography, and the Problem for Artistic Expression” stwierdziła Amy Adler została napisana „w celu ogłoszenia alarmu w związku z rozwojem stosujących przemoc, skrajnie prawicowych grup”. Wspomniana książka nie propagowała, rzecz jasna, przemocy (choć oczywiście mówiła o niej – tylko czy proponuje ktoś, przepraszam bardzo, zakaz po prostu mówienia o przemocy? – zwykłe media robią to przecież każdego dnia), ani nie przekonywała – w każdym razie, w sposób celowy – do jakichś rasistowskich czy skrajnie nacjonalistycznych poglądów, co ewentualnie można byłoby uznać za „mowę nienawiści”. Lecz pomimo deklarowanej przez autora „Uzbrojonych i niebezpiecznych” intencji książka ta, jak napisała Amy Adler „najwyraźniej posłużyła jako inspiracja dla Timothy’ego McVeigha, oskarżonego (w czasie pisania wspomnianego artykułu) zamachowca z Oklahoma City, który podobno ‘upajał się szczegółami’ literatury faktu, a nawet użył ich do ‘ożywienia wiary w spisek’, aby zaatakować budynek federalny”. Jeśli więc ktoś chciałby w

konsekwentny sposób zastosować argumenty, przy użyciu których można w jakiś elementarnie sensowny sposób próbować uzasadnić zakaz (np.) „mowy nienawiści”, to (chyba) powinien być za zakazem publikowania takich książek, jak wspomniana tu „Armed and dangerous”. Oczywiście mógłby tu ktoś próbować podnieść kontrargument, że wspomniana tu książka w żadne sposób nie propaguje (w sensie zachęcania do niej), ani też nie pochwała przemocy. Lecz problem z użyciem takiego kontrargumentu (przynajmniej w odniesieniu do typowej „mowy nienawiści”) jest taki, że „mowa nienawiści” też nie musi zawierać nawoływania do przemocy, czy też pochwalania przemocy, aby mogła zostać uznana za przestępstwo – wystarczy, że nawołuje ona do nienawiści – a więc pewnej – zgoda, że skrajnej i paskudnej – emocji, na tle pewnych, nie wszelkich możliwych, rodzajów różnic między ludźmi, lub, że znieważa ona pewne grupy społeczne (takie, jak grupy narodowościowe, etniczne, rasowe, czy religijne). Można byłoby w przekonujący sposób różnicować ewentualne, czysto póki co hipotetyczne podejście prawne do takiej, jak wspomniana tu książki – która w niezamierzony przez jej autora sposób przyczyniła się do dokonania strasznego przestępstwa – oraz do „mowy nienawiści” która najczęściej nie prowadzi, przynajmniej w dający się to wykazać sposób, do niczego konkretnego, w oparciu np. o argument, że intencje stojące za napisaniem takiej książki, jak „Armed and dangerous” Jamesa Coatesa były dobre („ogłoszenie alarmu w związku z rozwojem stosujących przemoc, skrajnie prawicowych grup”), podczas gdy intencje stojące za „mową nienawiści” są złe (wywoływanie i podsycanie nienawiści oraz pogardy wobec mniejszości narodowych, rasowych, religijnych, czy osób LGBT, co może prowadzić do przemocy i dyskryminacji wobec członków takich grup)? Nie wiem, może ktoś mógłby próbować coś takiego twierdzić i na gruncie takiego argumentu uzasadniać opinię, że o ile (np.) „mowa nienawiści” powinna być prawnie zakazana, to książki tego rodzaju, co „Uzbrojeni i niebezpieczni” J. Coatesa nie. Ale czy taką argumentację można byłoby uznać za przekonującą? Próbując odpowiedzieć na powyższe pytanie, warto zadać sobie pewne pytanie pomocnicze – takie mianowicie, czy sama treść wspomnianej tu książki J. Coatesa była tak kompletnie niewinna, że popełnienie pod jej wpływem potwornej zbrodni – co oczywiście było czymś bardzo mało prawdopodobnym, ale bardzo mało prawdopodobne rzeczy też się przecież czasem zdarzają – było czymś po prostu praktycznie rzecz biorąc niemożliwym do wyobrażenia, a więc np. czymś takim, jak to, że ktoś wpada w morderczy szal pod wpływem przeczytania np. o tym, że niebo jest niebieskie, trawa zielona, a pies ma cztery łapy? Jeśli tylko przez chwilę się nad tym zastanowić, to wcale nie jest oczywiste. Przede wszystkim, jak była tu już mowa, James Coates napisał swą książkę „w celu ogłoszenia alarmu w związku z rozwojem stosujących przemoc, skrajnie prawicowych grup”. Zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” twierdzą, że zakazy takie są potrzebne, gdyż „mowa” taka prowadzi do przemocy i/lub dyskryminacji wobec członków atakowanych przez nią grup. No dobrze, ale czy publikacja, w której o członkach pewnych grup (np. tzw. milicjach) mówi się jako o ludziach wysoce niebezpiecznych nie może wśród jakichś (oczywiście, z pewnością nielicznych) odbiorców wywołać emocji, które niektórych z nich popchną do przemocy przeciwko ludziom, odnośnie których zostali przekonani, że stanowią oni dla nich poważne zagrożenie? Dalej, książka Coatesa mówi o różnych dokonanych, czy też tylko planowanych aktach przemocy. Oczywiście, autorowi tej książki nie chodziło o to, by przestępstwa podobne do tych, o jakich pisał on w swej książce były dokonywane. Lecz przecież czymś doskonale znanym są

przypadki przestępstw, które ich sprawcy popełnili w wyniku inspiracji tym, co zobaczyli w fabularnym filmie, w telewizyjnych wiadomościach, czy też przeczytali np. w książce (fenomen ten znany jest jako tzw. copycat crimes). Tak więc, jakkolwiek „Armed and dangerous” J. Coatesa z praktyczną pewnością nie są ani „nawoływaniem do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość” (bądź „nawoływaniem do nienawiści” z jakichś jeszcze innych powodów – np. wobec osób LGBT), ani też „znieważeniem grupy ludności z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości” – względnie z jakiegoś jeszcze innego powodu – np. płci, wieku, niepełnosprawności czy orientacji seksualnej) i nie są też czymś takim podobne do nich publikacje (a więc np. „Brunatna Księga” stowarzyszenia „Nigdy Więcej”) to próby uzasadnienia różnego podejścia do takich publikacji i do „mowy nienawiści” musiałyby się opierać na argumentach, które są w oczywisty sposób stronicze – tj. np. na w oczywisty sposób absurdalnym dla każdego myślącego w sposób elementarnie spójny argumente, że prawo powinno zabraniać wypowiedzi, które choćby pośrednio mogą przyczynić się do przemocy na tle takich różnic między ludźmi, jak różnice narodowościowe, etniczne, rasowe, wyznaniowe, czy też dotyczącej np. ateistów i agnostyków, a także ludzi w określonym wieku, określonej płci, osób niepełnosprawnych, i osób o określonej orientacji seksualnej, lecz nie powinno zajmować się wypowiedziami, które mogą prowadzić do przemocy innego rodzaju, bądź na też sztucznym – w moim przynajmniej odczuciu – argumente, że jest czymś w porządku, gdy prawo zabrania (znów, tylko pewnych przypadkach – i tu pojawia się taki, jak wspomniany powyżej problem) wypowiedzi, za którymi stoją pewne złe intencje – takie choćby, jak intencja „nawoływania do nienawiści” która nie jest przecież równoznaczna z intencją spowodowania czynu (czy też czynów) wyrządzającego (wyrządzających) komuś krzywdę – nawet jeśli wypowiedzi te nie prowadzą (przynajmniej w sposób możliwy do udowodnienia) do żadnych szkód – i jednocześnie toleruje wypowiedzi, które w sposób zgoda, że niezamierzony, lecz jednak nie kompletnie niewyobrażalny (wspomniana tu już Nadine Strossen pisała, że *„Gdybyśmy chcieli zakazać wszystkich słów lub obrazów, które kiedykolwiek oskarżano o inspirowanie bądź bezpośrednio przyczynienie się do przestępstwa popełnionego przez odszczepieńców i jednostki społeczne, nie mielibyśmy wiele do czytania i oglądania. W całej historii i na całym świecie przestępcy często składali winę za swoje postępowanie na zaskakująco wiele słów i obrazów napotkanych przez nich w książkach, filmach i telewizji”*) przyczyniły się do brutalnej przemocy – dlatego, że intencja stojąca za tymi wypowiedziami jest dobra (tj. np. antyfaszystowska). Poza tym, chciałbym zauważyć, że motywacji do np. przestępstw z nienawiści potrafią dostarczać niektórym ludziom wypowiedzi *per se* – wydawać by się mogło – naprawdę kompletnie niewinne. I tak w pewnej publikacji o antysemitycznych przestępstwach czytałem o tym, że „wiele antysemitycznych przestępstw z nienawiści popełnianych jest w dni pamięci ofiar Holokaustu, takie jak 27 stycznia” (rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz – Birkenau). Przepraszam bardzo, ale nikt nie mógłby wiedzieć o tym, kiedy jest 27 stycznia i że tego dnia przypada rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu – i w następstwie emocji wywołanych wiedzą o tym fakcie popełnić takiego czy innego przestępstwa – gdyby o tym wcześniej nie usłyszał albo nie przeczytał. Oczywiście, wątpliwe jest to, by ktoś nabrał nienawiści do Żydów pod wpływem dowiedzenia się o tym, że 27 stycznia 1945 r. został

wyzwolony obóz w Oświęcimiu – to raczej wiedza o czymś takim – niewątpliwie biorąca się z różnego rodzaju publikacji i jakoś wywoływane przez tę wiedzę emocje może u niektórych ludzi już będących bardzo zdecydowanymi antysemitami stanowić swego rodzaju „wyzwalacz” przestępczych zachowań. Lecz chciałbym zauważyć, że pewne wypowiedzi, zdecydowanie nie będące np. „nawoływaniem do nienawiści” albo „znieważeniem grupy ludności” mogą przyczyniać się do brutalnych, antysemitycznych przestępstw. Na coś takiego wskazuje jeden z przykładów podanych we wspomnianej publikacji: „10 grudnia 2014 roku na przedmieściach miasta stołecznego z dużą społecznością żydowską, trzech zamaskowanych mężczyzn włamało się do mieszkania młodej żydowskiej rodziny. Młody mężczyzna został związany, młoda kobieta została zgwałcona, a mieszkanie zostało okradzione. Napastnicy żądali pieniędzy, kart kredytowych i klejnotów, cały czas wypowiadając takie uwagi, jak: „wy, Żydzi, macie pieniądze” i „wy, Żydzi, trzymacie pieniądze w domu, a nie w banku”. Będących podłożem przestępczego działania przekonani, takich, jak przekonania o tym, że Żydzi mają pieniądze (tzn. że są bogaci), a także, że swoje pieniądze trzymają oni w domu, a nie w banku sprawcy wspomnianego powyżej czynu nie mogli nabyć inaczej, jak pod wpływem pewnych wypowiedzi. Zgoda, że przekonania, które były podłożem wspomnianego powyżej przestępstwa ktoś mógłby określić jako – w jakimś przynajmniej sensie – antysemityczne. Lecz mimo wszystko jest jasne, że wypowiedzianie twierdzeń tego rodzaju, że Żydzi mają pieniądze i że trzymają oni pieniądze w domach, a nie w bankach nie jest (przynajmniej, jeśli nie twierdzi się takich np. rzeczy, że Żydzi te pieniądze ukradli) ani „nawoływaniem do nienawiści” wobec Żydów, ani też znieważaniem Żydów jako grupy narodowej, czy też religijnej. I poza tym, czy to „mowa nienawiści” – w sensie wypowiedzi, o których można powiedzieć „tak, to jest nawoływanie do nienawiści”, albo „tak, to jest znieważenie grupy ludności”, względnie „tak, to jest nawoływanie do popełnienia przestępstwa” jest czymś, co w jakiś szczególny sposób przyczynia się do przestępstw z nienawiści – takich np., jak fizyczne napaści na imigrantów? Jeśli o to chodzi, to z pewnej publikacji na temat przemocy wobec imigrantów w latach 90 XX wieku w Niemczech wynika, że ofiarami takiej przemocy padali najczęściej nie ludzie należący do grup, które „obiektywnie” rzecz biorąc stwarzali największe problemy społeczne, w sensie zajmowania mieszkań, czy miejsc pracy, które gdyby nie oni, mogliby mieć przecież „prawdziwi” Niemcy (taką grupą byli niemieccy repatrianci z byłego z ZSRR, którzy w Niemczech mieli automatyczne prawo do uzyskania obywatelstwa i byli tam... Volksdeutschami), lecz członkowie tych grup, na które zwracano największą uwagę w mediach. W tym przypadku pewne wypowiedzi niewątpliwie przyczyniały się – przynajmniej w pośredni sposób – do przestępczych czynów (w odniesieniu do „mowy nienawiści” też raczej nie twierdzi się, że stanowi ona jakies bezpośrednie zagrożenie – w tym np. sensie, że istnieje duże prawdopodobieństwo np. tego, że ktoś w następstwie zetknięcia się z taką „mową” niezwłocznie popełni przestępstwo z nienawiści). Lecz wypowiedzi te – przynajmniej jeśli chodzi o takie, jakie pojawiały się w zwykłych gazetach i jakie można było usłyszeć w radiu i w telewizji (nie dają oczywiście głowy, co mogło się pojawiać w jakichś pokątnie wydawanych ulotkach) nie stanowiły „mowy nienawiści” w tym sensie, by stanowiły one nawoływanie do nienawiści, przemocy lub arbitralnych działań wobec jakiejś części ludności Niemiec albo znieważały, złośliwie oczerniały lub zniesławiały jakąś część ludności tego kraju (art. 130 niemieckiego k.k.). Norweski masowy morderca Anders Breivik

w swym opublikowanym niedługo przed dokonaniem przez niego zamachem bombowym w Oslo i masakrą na wysepce Utoya manifeście cytował takich pisarzy jak Melanie Phillips i Bruce Bawer jako „kluczowych dla ukształtowania się jego morderczej nienawiści do muzułmanów i „kulturowych marksistów”. Sprawdziłem, co autorzy ci pisali. Jeśli chodzi o Melanie Phillips, to opublikowała ona (w piśmie „The Jewish Chronicle”) artykuł, w którym sugerowała, że zarzut islamofobii służy do uciszenia wszelkiej krytyki świata islamskiego, w tym islamskiego ekstremizmu” i „ułatwia” antysemityzm. W zagorzały sposób krytykowała też Iran i często mówiła i pisała o zagrożeniu, jakie postrzega w tym kraju, zwłaszcza w kontekście chęci zdobycia przez irański reżim broni jądrowej. Ponadto, na początku prezydentury Baracka Obamy oskarżyła go o „przyjęcie programu islamistów” i „bycie mocno w ich obozie”. Sprzeciwiała się wprowadzeniu związków partnerskich dla par homoseksualnych w Wielkiej Brytanii i powiedziała, że to, co nazywa „tradycyjną rodziną [...] jest nieustannie atakowane przez sojusz feministek, działaczy na rzecz praw gejów, prawników rozwodowych i „kulturowych marksistów”, którzy pojęli, że jest to najpewniejszy sposób na zniszczenie zachodniego społeczeństwa”. Natomiast Bruce Bawer w swej książce „While Europe Slept: How Radical Islam is Destroying the West From Inside” (2006) pisał o tym, że osiedlający się w krajach Europy Zachodniej muzułmanie unikają integracji i kierują się wyłącznie prawem Szariatu, ignorując systemy prawne państw, w których mieszkają i dopuszczając molestowanie kobiet i gejów, a także Żydów i innych niemuzułmanów. Stwierdził on tam również, że rosnąca liczba urodzeń wśród muzułmanów i ich „odmowa” integracji pozwolą im zdominować europejskie społeczeństwa w ciągu 30 lat, a jedynym sposobem uniknięcia takiej katastrofy jest zniesienie politycznie poprawnych i wielokulturowych doktryn, które według niego są rozpowszechnione na naszym kontynencie. Z kolei w „Surrender: Appeasing Islam, Sacrificing Freedom” (2009) Bawer przekonywał, że „ludzie w całym świecie zachodnim – w reakcji na takie wydarzenia, jak zamieszki do których doszło w następstwie opublikowanych w Danii karykatur Mahometa i morderstwo holenderskiego filmowca Theo van Gogha – poddają się strachowi” i w następstwie tego cenzurują siebie oraz innych, „odmawiając krytyki nawet najbardziej neoliberalnych aspektów kultury islamskiej”, tym samym „podważając wartości indywidualnej wolności i równości, na których powstał nasz naród”. Było to, w jakimś w miarę sensownym (a w każdym razie mającym związek z przepisami prawnymi, tego np. rodzaju, co art. 256 i 257 polskiego k.k.) znaczeniu „mową nienawiści”? Jeśli chodzi o Melanie Phillips to niewątpliwie wyrażała ona konserwatywne poglądy na temat feministek, działaczy na rzecz praw gejów (i samych gejów), a także prawników rozwodowych i „kulturowych marksistów”. Poglądy te mogły się oczywiście wielu ludziom nie podobać, ale ich wyrażanie (o ile nie przybierało jakiejś np. obelżywej formy) nie stanowiło, na zdrowy rozum, ani „nawoływania do nienawiści”, ani „znieważania grupy ludności” (chciałbym zauważyć, że przed takim „nawoływaniem”, oraz „znieważaniem” są prawnie chronione grupy narodowościowe, rasowe, czy religijne, ale nie takie, jak feministki, działacze na rzecz praw gejów, czy też prawnicy rozwodowi, bądź kulturowi marksiści). Czy „mowę nienawiści” – w sensie tu wspomnianym – mogło stanowić to, co Melanie Phillips pisała o świecie islamu? Jeśli chodzi o to, to sądzę, że to, co pisała wspomniana autorka mogło u niektórych ludzi pobudzać strach przed światem islamskim i w konsekwencji przed muzułmanami – taki strach jak najbardziej może być przyczyną przestępstw z nienawiści przeciwko członkom takiej np. grupy, jak muzułmanie. Lecz mimo

wszystko Melanie Phillips ani nie nawoływała do nienawiści przeciwko muzułmanom, ani nie znieważała ich jako grupy wyznaniowej. Czy „mowę nienawiści” mogło stanowić to, co o muzułmanach pisał Bruce Bawer? Odnośnie tego pytania trzeba stwierdzić, że nie jest prawdą to, że rosnąca liczba urodzeń wśród muzułmanów i ich „odmowa” integracji pozwolą im zdominować europejskie społeczeństwa w ciągu 30 lat – raczej jest tak, że jeśli tempo wzrostu liczby muzułmanów w Europie by się utrzymało, to mogliby oni stać się na naszym kontynencie większością, ale za jakieś 300 lat. Lecz stwierdzenie to, jakkolwiek (najprawdopodobniej, czytałem kiedyś o tym) było nieprawdziwe i mogące się przyczyniać do rozbudzania wrogich emocji wobec muzułmanów niewątpliwie nie stanowiło nawoływania do nienawiści wobec muzułmanów czy też znieważenia muzułmanów jako grupy religijnej. Zaś co do pozostałych stwierdzeń Bruce’a Bawer’a – przynajmniej tych, które zostały tu przytoczone – to sądzę, że za ich karalnością mogłby być chyba tylko ktoś, kto uważa, że zakazana powinna być wszelka krytyka muzułmanów (i islamu), w tym islamskiego terroryzmu – a przynajmniej, że zakazane powinno być jakiekolwiek wiązanie terroryzmu z wyznawaną przez muzułmanów religią – albo, że zakazane powinno być szerzenie nawet zupełnie prawdziwych informacji mogących stawiać muzułmanów w złym świetle – a więc takich, jak informacje o popieraniu przez – na pewno nie wszystkich, ale z pewnością przez wielu – muzułmanów prawa Szariatu (w końcu znanego np. ze tego, że na jego podstawie za picie alkoholu i pozamałżeński seks grozi 100 batów chłosty, a za odstępstwo od wiary kara śmierci), zdarzających się w muzułmańskich rodzinach tzw. zbrodniach honorowych czy braku osobistej i politycznej wolności w krajach, w których muzułmanie stanowią większość mieszkańców. Oczywiście, wypowiedzi Bruce’a Bawer’a nie dałyby się zakwalifikować – w sensie prawnym – jako „mowa nienawiści”. Lecz wypowiedzi te – podobnie, jak wypowiedzi Melanie Phillips – w jakiś co najmniej pośredni sposób przyczyniły się do popełnienia strasznego przestępstwa.

Jak więc widać, niesłychanie trudno jest znaleźć granicę między „bezpiecznymi” a „niebezpiecznymi” wypowiedziami – przynajmniej wówczas, jeśli warunkiem karalności wypowiedzi nie jest to, by rodziła ona jakieś natychmiastowe, mogące się zrealizować niezwłocznie niebezpieczeństwo. Prawo jednak, jak się wydaje, powinno jakoś tę granicę wyznaczać. Jak jednak może to robić?

Może to oczywiście robić w sposób arbitralny – tak, jak to jest (np.) w prawie polskim. Tu akurat zakazane jest nawoływanie (publiczne) do nienawiści „na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość” oraz publiczne znieważanie grupy ludności (wymienioną w art. 257 „poszczególną osobę” zostawmy w spokoju – znieważenie konkretnej osoby zawsze może być ścigane, jako przestępstwo prywatnoskargowe na podstawie art. 216 k.k.) z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości, ale nie jest zakazane nawoływanie do nienawiści na tle innych różnic między ludźmi, niż wymienione w art. 256 par. 1 k.k. i znieważanie grup ludności z powodu przynależności innej, niż ta określona w art. 257 k.k. To prawda, że rząd chce rozszerzyć zakres przestępstw „nawoływania do nienawiści” i znieważenia grupy ludności – według wniesionego niedawno do Sejmu projektu karalne miałyby się stać „publiczne nawoływanie do nienawiści ze względu na niepełnosprawność, wiek, płeć lub orientację seksualną” oraz

„znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby w związku z niepełnosprawnością, wiekiem, płcią lub orientacją seksualną” (i przy okazji, występujący obecnie w art. 257 k.k. zwrot „z powodu jej przynależności” miałyby zostać zastąpiony zwrotem „w związku z przynależnością”). Jeśli rządowa propozycja stałaby się prawem, można byłoby trafić do więzienia za nawoływanie do nienawiści wobec takich grup ludzi, jak osoby starsze (choć także młode), kobiety (choć również i mężczyźni), inwalidzi, oraz osoby LGBT (choć także osoby heteroseksualne) – można byłoby też pójść siedzieć za publiczne znieważanie takich grup. Jednak znieważanie wszelkich innych grup i nawoływanie do nienawiści wobec jakichkolwiek grup – o ile nie byłoby już nawoływaniem do popełnienia przestępstwa – nie byłoby czymś prawnie zakazanym. Wolno byłoby – w stanie prawnym, jaki rząd chce urzeczywistnić – publicznie nawoływać do nienawiści wobec takich grup ludności i publicznie znieważać takie grupy ludności, jak np. robotnicy, rolnicy, lekarze, żołnierze, przedsiębiorcy, ludzie bogaci, ludzie biedni, bezrobotni, bezdomni, ludzie mający często negatywnie postrzegane, ale nie uważane za niepełnosprawność cechy fizyczne – a więc np. ludzie otyli – a także oczywiście wobec ludzi mających takie czy inne poglądy, bądź należących do takich czy innych organizacji. Określone w art. 256 i 257 k.k. zakazy „nawoływania do nienawiści” oraz „znieważania grupy ludności” są więc kompletnie arbitralne – i mają takie pozostać. To samo można powiedzieć o zakazie obrażania uczuć religijnych. Zgodnie z art. 196 k.k. nie wolno obrażać uczuć religijnych innych osób poprzez publiczne znieważenie przedmiotu czci religijnej lub miejsca przeznaczonego do publicznego sprawowania obrzędów religijnych – generalnie rzecz biorąc wolno jednak obrażać wszelkie inne uczucia, niż religijne – a więc uczucia związane z takimi czy innymi przekonaniem filozoficznymi, światopoglądowymi, dziełami sztuki, postaciami historycznymi, itd. Zwracając na to uwagę nie proponuję oczywiście tego, by obrażanie tych wszystkich uczuć zostało uznane za przestępstwo, lecz po prostu wskazuję na arbitralność zakazu obrażania tylko tych uczuć, o których jest mowa w art. 196 k.k. Dalej, chciałbym też zauważyć, że arbitralny charakter ma zapisany w art. 256 par.1 k.k. zakaz publicznego propagowania nazistowskiego, komunistycznego, faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa. To prawda, że tu akurat ktoś mógłby podnieść kontrargument, że ponieważ zakazane jest propagowanie wszelkich ustrojów o charakterze totalitarnym, to zakaz, o którym tu jest mowa nie jest zakazem wybiórczym. Lecz chciałbym jednak zwrócić uwagę, że pewne ustroje, które przynajmniej zazwyczaj nie są uważane za ustroje totalitarne – takie choćby, jak dyktatury w Chile (Pinocheta), w Argentynie (junty wojskowej w latach 1976 – 1983), czy w Ugandzie (Idiego Amina w latach 1971 – 1979), były nie mniej, a może nawet bardziej brutalne i zbrodnicze od ustrojów, które zazwyczaj klasyfikuje się jako totalitaryzmy – a więc choćby np. ustroju Polski w okresie stalinizmu. Można więc z powodzeniem twierdzić, że zakaz publicznego propagowania nazistowskiego, komunistycznego, faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa ma arbitralny charakter. Podobną rzecz można powiedzieć o wprowadzonym jeszcze w poprzedniej kadencji Sejmu do kodeksu karnego zakazie publicznego propagowania ideologii nazistowskiej, komunistycznej, faszystowskiej lub ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Niewątpliwie, skutki wcielenia w życie tych ideologii jako praktyk rządzenia krajem (do czego ich propagowanie może, rzecz jasna, przyczynić się tylko w jakiś bardzo potencjalny i hipotetyczny sposób) byłyby koszarne. Lecz niewątpliwie też koszarne –

może jeszcze bardziej – byłyby skutki wcielenia w życie postulatów takiej np. ideologii, jak anarchoprymitywizm, czyli najogólniej rzecz biorąc poglądu, że świat powinien powrócić do stanu sprzed rozwoju cywilizacji – kiedy to nie było budynków, fabryk, samochodów, gazet, komputerów, a ludzie żyli w – powiedzmy sobie, raczej rzekomej – harmonii z przyrodą. To prawda, że anarchoprymitywiści nie nawołują do tego, by ich postulaty wcielić w życie przy użyciu czynów gwałtownych – gdyby tak było, ideologię anarchoprymitywizmu można byłoby uznać za ideologię nawołującą do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Lecz jeśli postulaty wspomnianej tu ideologii traktuje się jako coś więcej, niż tylko mrzonki, których nikt nie może potraktować poważnie i co do których jest oczywiste, że nikt nie będzie próbował wcielić ich w życie, to staje się jasne, że postulatów tych nie dałoby się zrealizować inaczej, jak przy użyciu przemocy, i to na olbrzymią skalę. Oczywiście, ideologia anarchoprymitywizmu ma z pewnością niewielu zwolenników. Lecz chciałbym zauważyć, że wyznawanie przez niektórych ludzi takiej właśnie ideologii leży u podłoża działań określanymi mianem ekoterroryzmu – czyli niszczenia budynków czy różnych instalacji w celu zapobiegania wyrządzeniu szkody dla równie, jeśli nie bardziej, zdaniem takich osób, wartościowej jak przedstawiciele gatunku Homo Sapiens przyrody. Arbitralny charakter można też zarzucić zapisanemu w art. 200b k.k. zakazowi publicznego propagowania lub pochwalania zachowań o charakterze pedofilskim. Odnośnie tego zakazu rozumiem oczywiście, że pedofilia, którą z reguły utożsamia się z seksualnym wykorzystywaniem dzieci (choć pedofilia jako taka to po prostu pociąg seksualny wobec osób nie mających rozwiniętych tzw. trzeciorzędnych cech płciowych) budzi u większości ludzi jak najgorsze emocje. Lecz chciałbym zauważyć, że wspomniany tu zakaz tak samo, jak obejmuje propagowanie i pochwalanie zachowań przestępczych, tak samo również obejmuje propagowanie i pochwalanie zachowań, które nie są prawnie zakazane – o ile oczywiście zachowania te można uznać za zachowania o charakterze pedofilskim. Rzecz jasna, można twierdzić, że nawet nie przestępcze zachowania o charakterze pedofilskim krzywdzą dzieci lub mogą prowadzić do wyrządzenia im krzywdy. Lecz krzywdę dzieciom mogą też wyrządzać zachowania nie mające pedofilskiego charakteru. Lecz propagowanie i pochwalanie takich zachowań – o ile nie są one przestępstwami – nie jest prawnie zakazane.

Czy o arbitralnym charakterze ograniczenia wolności słowa można mówić w przypadku zakazów publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa, oraz publicznego pochwalania popełnienia przestępstwa? Tu może być nieco trudniej. Zauważmy bowiem choćby to, że zakazy te dotyczą nawoływania do popełnienia i pochwalania popełnienia wszelkich, a nie tylko pewnych wybranych, przestępstw (dla świętego spokoju zostawmy na boku sprawę zaostrożonych kar za nawoływanie do takich przestępstw i pochwalanie takich przestępstw, jak wszczęcie wojny napastniczej, czy też zbrodni przeciwko ludzkości i zbrodni wojennych – nawoływanie do popełnienia takich przestępstw i pochwalanie popełnienia takich przestępstw bez odnoszących się do niego przepisów k.k. tj. art. 117 par. 3 i 126a, podpadałoby pod art. 255).

Lecz jeśli nawet zakazy nawoływania do popełnienia przestępstwa i pochwalania popełnienia przestępstwa nie mają arbitralnego charakteru, to i tak można się poważnie zastanawiać nad potrzebą ich istnienia – przynajmniej w tej postaci, w jakiej występują one w obecnie

obowiązującym w Polsce prawie. Co bowiem potrzebne jest do naruszenia tych zakazów? Otóż, potrzebne są dwie rzeczy: po pierwsze, publiczna – a więc choćby potencjalnie mogąca dotrzeć do nieograniczonego kręgu osób wypowiedź wzywająca do dokonania jakiegoś czynu zakazanego przez polskie prawo karne, albo pochwalająca dokonanie takiego czynu, a po drugie, intencja, by do popełnienia rzeczzonego czynu doszło, bądź intencja, by odbiorcy wypowiedzi uznali ten czyn za godny pochwały. Nie jest natomiast potrzebne doprowadzenie do tego, by przestępstwo zostało popełnione, nawoływanie do popełnienia przestępstwa (czy też pochwalanie popełnienia przestępstwa) nie musi też zachodzić w takich warunkach, by istniało realne prawdopodobieństwo, że doprowadzi ono do popełnienia przestępstwa – nie musi więc być ono kierowane do np. już rozwścieczonego tłumu, jakichś niebezpiecznych i skłonnych do rozwiązywania problemów przy użyciu siły osób, czy też mieć miejsca w takich okolicznościach, w których istnieje prawdopodobieństwo, że niektórzy ludzie, wskutek np. emocjonalnego wzburzenia krzywdą jaka czy to faktycznie czy też tylko w ich choćby błędnym odczuciu ich spotkała stracą panowanie nad sobą, tak, że w okolicznościach takich nawoływanie do przestępczego działania może się stać jego bezpośrednim wyzwalaczem.

Jak zatem widać, publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa, a także publiczne pochwalanie popełnienia przestępstwa w większości przypadków jest czymś niegroźnym, a w każdym razie nie groźniejszym od wielu wypowiedzi nie będących takim nawoływaniem (bądź pochwalaniem). Czy można zatem byłoby twierdzić, że wypowiedzi nawołujące do popełniania przestępstw (czy też pochwalające ich popełnianie) są czymś w rodzaju „magicznych pocisków”, strzelanie którymi jeśli nie powoduje natychmiastowego popełnienia przestępstw, to przynajmniej u niektórych ludzi „trafionych” takimi „pociskami” wywołuje myśli i emocje prowadzące – czasami – do rzeczywistego popełnienia przestępstw?

Odnosnie zadanego tu pytania wydaje mi się, że są możliwe – choć na pewno nader rzadko się zdarzają (przynajmniej w rozwiniętych, zachodnich krajach; jakieś państwa, gdzie między ludźmi toczy się walka o dostęp do zasobów pozwalających na przeżycie mogą być czymś innym) sytuacje, w których zachęcająca do popełnienia przestępstwa wypowiedź staje się bodźcem rzeczywiście prowadzącym do jego popełnienia. Coś takiego zdarzyło się w Polsce w 2009 r. na koncercie rapera Pei w Zielonej Górze. Podczas tego koncertu Peja, rozwścieczony tym, że pewien chłopak pokazał mu środkowy palec, zaczął do niego krzyczeć: „*Jak ja k...wa rapowałem, to ty żeś nawet nie wiedział, jak się k...wa wysr...*”, po czym w podobnym tonie zwrócił się do tłumu: „*wiecie, co robić, nie?!, wiecie co z nim zrobić! Rozjebać w ch...!*”. Podburzony okrzykami Pei tłum rzucił się na chłopaka – jak się później okazało, wcale nie tego, który pokazał mu środkowy palec – okładając go pięściami i kopiąc. W tym przypadku słowa rzeczywiście podziały – jak to niegdyś określił amerykański sędzia federalny Learned Hand – jako „*trigger of action*”.

Lecz tu akurat nie jest mowa o karalności takich wypowiedzi, jak wspomniana powyżej wypowiedź Pei – a więc takich, które mają miejsce w pewnych szczególnych warunkach, takich np. że kierowane są do nabuzowanego emocjami i składającego się – przynajmniej w części – z osób, które łatwo jest – w pewnych przynajmniej sytuacjach – popchnąć do użycia siły - tłumu, zaś osoba, przeciwko której skierowane jest nawoływanie do kryminalnego działania znajduje się pod ręką, a raczej o karalności wypowiedzi nawołujących do

popęlnienia przestępstwa – i pochwalających popęlnienie przestępstwa – jako takich w ogóle. Czyli inaczej mówiąc wypowiedzi, które mogą się zdarzać w internetowych komentarzach, ulotkach, w prasie, czy choćby występować jako napisy na murach bądź chodnikach.

Czy generalny zakaz wypowiedzi nawołujących do popęlnienia przestępstw – i pochwalania ich popęlnienia - można byłoby w jakiś elementarnie sensowny sposób próbować uzasadnić przy użyciu argumentu, że wypowiedzi takie są jakimiś „magicznymi pociskami” bądź „podskórnymi igłami” wstrzeliwującymi kryminalne myśli do głów ich odbiorców? Odnośnie tego pytania myślę, że gdyby ktoś coś takiego naprawdę uważał – i był zdania, że taka właśnie cecha wypowiedzi nawołujących do popęlnienia przestępstw, czy też pochwalania ich popęlnienia uzasadnia ich kryminalizację – to, gdyby tylko myślał w sposób logiczny i był w swoim myśleniu konsekwentny – powinien być za zakazem nie tylko publicznego nawoływania do popęlnienia przestępstw i pochwalania ich popęlnienia, lecz także za zakazem powielania tego rodzaju wypowiedzi poprzez przytaczanie treści takich wypowiedzi np. w medialnych reportażach, w publicystyce, itd. Bo przecież o ile można powiedzieć, że np. przytoczenie w prasowej czy też internetowej publikacji słów Pei, przy pomocy których podburzał on tłum do pobicia chłopaka niesie za sobą bez porównania mniejsze ryzyko od samej wypowiedzi Pei, która miała miejsce w pewnych określonych warunkach, to nie można przecież powiedzieć, że przytoczenie w mającej wiele tysięcy czytelników gazecie, czy też w popularnym portalu internetowym – albo w telewizji – treści wypowiedzi nawołującej do popęlnienia przestępstwa (czy też pochwalającej jego popęlnienie) jest czymś mniej niebezpiecznym od samej, „oryginalnej” wypowiedzi. Wręcz przeciwnie, można byłoby twierdzić, że przytaczanie treści nawołujących do popęlnienia przestępstw wypowiedzi w mediach jest czymś bardziej niebezpiecznym od samych takich nawoływań (w tym sensie, że ktoś osobiście, bezpośrednio nawołuje do popęlnienia przestępstwa), a to ze względu na znacznie szerszy krąg osób, do których trafiają treści publikowane w mediach (takich, jak popularne portale internetowe, gazety, czy stacje telewizyjne) niż – zazwyczaj przynajmniej – tych, do których może bezpośrednio dotrzeć „oryginalne” nawoływanie do popęlnienia przestępstw. Lecz jakoś nie zetknąłem się jak dotąd z pomysłem zakazu mówienia i pisania o wypowiedziach nawołujących do popęlnienia przestępstw (czy też pochwalających ich popęlnienie) w tym również przytaczania treści takich wypowiedzi. Warto tu przy okazji zwrócić uwagę na to, że szeroka kryminalizacja wypowiedzi nawołujących do popęlnienia przestępstw i pochwalających ich popęlnienie może nie zmniejszać, ale zwiększać zagrożenia, potencjalnie mogące wynikać z takich wypowiedzi. Dlaczego? Otóż choćby dlatego, że jeżeli przeciwko komuś zostaje wszczęta sprawa o nawoływanie do popęlnienia przestępstwa, czy też o pochwalanie popęlnienia przestępstwa, to dla mediów (np. popularnych portali internetowych) jest to (jeśli nie zawsze, to co najmniej często) news – co oczywiście prowadzi do szerokiego rozpowszechnienia treści nawołującej do popęlnienia przestępstwa, czy też pochwalającej popęlnienie przestępstwa wypowiedzi. Ja np. najprawdopodobniej nie miałbym zielonego pojęcia o wypowiedzi niejakiego Kamila Kurosza, który swego czasu w swym profilu na Twitterze wezwał do spędzenia wszystkich pisowców do jednej sali w Sejmie i wpuszczenia do niej gazu, gdyby panem tym – będącym wcześniej jakimś lokalnym, mało znanym działaczem partii „Nowoczesna” – nie zajęła się prokuratura, dzięki czemu treść jego wypowiedzi, która wcześniej mogła być znana względnie nielicznym osobom, które osobiście widziały to, co Kurosz wypisuje na Twitterze, została rozpowszechniona przez np. takie portale internetowe, jak Onet, czy

Wirtualna Polska. Zagrożenie wynikające z rozpowszechnienia w mediach treści takiej – przykładowo – wypowiedzi, jak wspomniana tu wypowiedź Kamila Kurosza też oczywiście nie jest jasne – na zdrowy rozum, jest ono niewielkie, może nawet naprawdę bardzo małe. Lecz mimo wszystko wydaje mi się, że treść wypowiedzi nawołującej do popełnienia przestępstwa, która dzięki powieleniu tej treści w popularnych gazetach, portalach internetowych czy w telewizji trafia do setek tysięcy, czy milionów odbiorców może z większym prawdopodobieństwem doprowadzić do przestępczego działania, niż oryginalne nawoływanie do takiego działania, z którym bezpośrednio styka się zazwyczaj dużo mniejsza liczba osób. A do czegoś takiego – prowokując zainteresowanie mediów nawołującymi do popełniania przestępstw wypowiedziami – może prowadzić wszczynanie procesów o takie wypowiedzi, czy nawet sam zakaz takich wypowiedzi – może się przecież zdarzyć taka sytuacja, że ktoś – np. polityk, działacz społeczny, czy dziennikarz – wburzony np. tym, że kogoś nie ściga się za nawoływanie do popełnienia przestępstwa – czyli, że nie przestrzega się obowiązującego prawa – zrobi z tego powodu przysłowiowy raban, którego skutkiem będzie rozmnożenie treści nawołującej do popełnienia przestępstwa wypowiedzi.

Ogólnie zatem rzecz biorąc, trzeba powiedzieć, że słowa mogą prowadzić do zła. Gdyby po prostu nie mogły – zwłaszcza, gdyby było oczywiste, że nie mogą – nie byłoby sporów na temat zakresu czy też granic wolności słowa – tak, jak, chciałbym to zauważyć, nie ma sporów na temat pewnych, jakby nie było, praw obywatelskich, takich choćby, jak prawo do pójścia na spacer (oczywiście, niektórych ludzi, takich np. jak wtrąceni do więzienia przestępcy pozbawia się możliwości swobodnego spacerowania, ale nie wynika to z tego, że spacerowanie jest czymś niebezpiecznym – choć, gdyby się tak przez chwilę nad tym zastanowić, to można byłoby dojść do wniosku, że jest – niewątpliwie wiele przestępstw nie zostałyby popełnionych, gdyby ludzie nie mogli, zasadniczo przynajmniej rzecz biorąc, chodzić sobie tam, gdzie tylko chcą). Lecz, przynajmniej w olbrzymiej większości przypadków słowa nie prowadzą do zła niczym jakieś (to określenie w oczywisty sposób może być tylko przenośnią) „magiczne pociski”. Jak pisał niegdyś amerykański profesor prawa Milton R. Konvitz *„Sędziowie i komentatorzy napisali wiele stron, które wydaje się obciążać strach, że Pierwsza Poprawka może zostać wykorzystana do trzymania z dala od więzienia mężczyzn, którzy mają przymus krzyczenia „Pożar!” w zatłoczonych teatrach, gdy nie ma pożarów. Istnieje znacznie mniej powodów do tego strachu, niż się powszechnie zakłada. Wśród rzeczy, które rozpalają namiętności ludzi na tyle, by przekształcić ich w szalejące, destrukcyjne tłumy, mowa na trybunach prawdopodobnie plasuje się na samym dole listy (i przypuszczalnie mowa np. w Internecie, która nie jest kierowana do zgromadzeń ludzi, plasuje się jeszcze niżej) Gdy tłum staje się motłochem, mowa może kierować zamieszkujących w jednym lub drugim kierunku; ale w naszym systemie prawnym nie ma przypadku, w którym kwestie dotyczące Pierwszej Poprawki zostałyby podniesione w takim faktycznym kontekście. (...) Zasada jasnego i bezpośredniego zagrożenia, w połączeniu z doktrynami „preferowanej pozycji” i „przestrzeni oddechowej”, może służyć powstrzymaniu sądów przed zbyt łatwym uleganiem obawom, które są bardziej zakorzenione w emocjach niż w faktach. Pomysły, które mogą nakłaniać do działania, nie stwarzają żadnego „jasnego” i żadnego „bezpośredniego” zagrożenia. Ich praca jest powolna, przebiegła i niewidoczna, i jest poza zasięgiem prawa i jego procesów. Kiedy idee otwarcie nakłaniają, częściej nakłaniają do prześladowania mówcy niż do działania zamierzonego i oczekiwanego przez*

niego”. Słowa najczęściej nie przyczyniają się więc do zła w taki sposób, jak to napisał red. Imielski. A jeśli ktoś uważa, że słowa (i inne formy ekspresji) mogą być zakazane z powodu mogących wynikać z nich w jakiś pośredni sposób zagrożeń, to chciałbym mu zwrócić uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze, jeśli ktoś taki uważa, że tylko niektóre niosące za sobą pośrednie ryzyko wypowiedzi (a więc np. „mowa nienawiści”) powinny być prawnie zabronione, to coś takiego, po pierwsze, stanowi konstytucyjnie zakazaną dyskryminację ludzi ze względu na wyznawane przez nich poglądy, a po drugie, w oparciu o działanie np. tzw. mechanizmu równi pochyłej może doprowadzić do rozszerzenia – potencjalnie rzecz biorąc praktycznie nieograniczonego – ograniczeń wolności ekspresji. Jeśli natomiast ktoś opowiada się za zakazem wszelkich choćby tylko potencjalnie niebezpiecznych wypowiedzi, to w istocie rzeczy opowiada się za likwidacją wspomnianej tu wolności. Co z tego jest mniejszym złem? Na zdrowy rozum, to pierwsze – z tym mamy do czynienia w praktyce. Lecz czymś w kwestii, o której tu jest mowa, najlepszym, byłoby maksymalne ograniczenie zakresu ograniczeń wolności wypowiedzi – do takich, których negatywnym efektem nie da się przeciwdziałać poprzez perswazję, edukację, czy też poprzez działanie prawa, karzącego nie za szerzenie takich czy innych „niebezpiecznych” idei, ale za wyrządzające innym ludziom krzywdę czyny, motywowane czasem takimi ideami.

Poza tym wszystkim, ściganie za wygłaszanie – tak to ogólnie nazwijmy – niebezpiecznych poglądów nie jest skuteczne, jako metoda zapobiegania ewentualnym skutkom wyznawania przez niektórych ludzi takich poglądów. Zadajmy tu sobie takie pytanie: czy postawienie przed sądem i skazanie autorów jakichś np. antysemitycznych, rasistowskich, propagujących nazistowski ustrój państwa, bądź nazistowską ideologię – albo ideologię propagującą uciekanie się do przemocy w celu dokonania jakichś zmian politycznych – wypowiedzi spowoduje to, że ludzie tacy i – oraz ich sympatycy – zmienią swoje przekonania, złagodnieją, czy też po prostu zamilczą i zajmą się swoimi prywatnymi sprawami? To pewnie może czasem się zdarzyć – niektórzy ludzie mogą nie chcieć narażać się na kłopoty, które w ich odczuciu groziłyby im, gdyby kontynuowali oni jakąś ryzykowną w ich odczuciu działalność. Lecz bardziej prawdopodobnym w moim odczuciu efektem karania za ekstremistyczne wypowiedzi może być to, że u ludzi takich narodzi się poczucie dyskryminowania i prześladowania ich za szczerze przez nich wyznawane, lecz „nieprawidłowe” zdaniem władzy poglądy. U przynajmniej części z nich – pamiętajmy przy tym, że z poglądami o charakterze rasistowskim, antysemitycznym, homofobicznym, nazistowskim, itd. często sympatyzują ludzie skłonni do używania przemocy – na gruncie takich uczuć może pojawić się wściekłość i przekonanie, że trzeba działać. Inaczej mówiąc, niektórzy z np. rasistów czy neonazistów mogą odczuwać skierowane przeciwko nim represje – polegające na ściganiu ich za takie czy inne wypowiedzi, bądź za udział w pewnych organizacjach – jako wytoczenie im przez państwo swego rodzaju wojny. Bronią państwa w tej wojnie są oczywiście nakazy przeszukań, zatrzymania i aresztowania osób i stosowne wyroki skazujące – czy to na grzywny, czy na kary ograniczenia wolności, czy pozbawienia wolności w zawieszeniu, czy też wreszcie na bezwzględną odsiadkę. Bronią tych, którzy czują się prześladowani „za poglądy” może być tylko jedno: bezprawna przemoc. Przeciwko komu przemoc ta może się skierować? Oczywiście, może być skierowana bezpośrednio stosującą represje wobec słownych ekstremistów władzom. Ale jak najbardziej może się też

skierować przeciwko członkom grup, odnośnie których ci, których bezpośrednio represjonuje się za głoszone przez nich opinie, bądź ich sympatycy mają poczucie, że są oni *spiritus movens* ich prześladowań.

Po drugie, ściganie za najogólniej rzecz biorąc „ekstremistyczne wypowiedzi” (do których też oczywiście można zaliczyć wypowiedzi propagujące ideologię komunistyczną czy też np. islamistyczną) może prowadzić do zejścia autorów takich wypowiedzi do podziemia, czyli we współczesnych warunkach do np. zabierania przez nich głosu wyłącznie na zamkniętych, zaludnionych przez wyznawców tego samego mniej więcej rodzaju opinii, forach internetowych. Mógłby ktoś powiedzieć, że w takiej akurat sytuacji głosiciele jakichś niebezpiecznych poglądów przynajmniej nie demoralizują tych, którzy takich poglądów jeszcze nie wyznają. Ale jeśli jacyś ludzie wyrażają swoje (skrajne) poglądy wyłącznie wśród zwolenników takich poglądów – bojąc się, że jeśli wyrażą je gdzie indziej, to będą mieli poważne kłopoty, z potencjalną możliwością trafienia za kratki wyłącznie – to z dużym prawdopodobieństwem może to spowodować, że będą się oni nawzajem nakręcać (oczywiście ktoś bardziej, ktoś mniej) w takich poglądach i biorących się z nich emocjach. W każdym razie, możliwość powiększania w skutek istnienia prawnych zakazów takich czy innych wypowiedzi zjawiska istnienia tzw. „kamer pogłosowych” – gdzie w skutek utrudnienia dostępu do takich miejsc w Internecie jest mało prawdopodobne, że o tym co tam się wypisuje dowiedzą się organy ścigania – jest przed niektórymi przeciwników zakazów np. „mowy nienawiści podnoszona jako argument przeciwko ograniczaniu wolności słowa.

Dalej, zakazy wypowiedzi mogą mieć jeszcze inne skutki – mogą one skłaniać niektórych wyznawców antysemickich, rasistowskich, czy jeszcze innych potencjalnie karalnych poglądów do używania takich słów czy sformułowań, których nie da się, lub przynajmniej trudno je jest, podciągnąć pod takie czy inne paragrafy. Wychodzą z tego czasem całkiem zgrabne, po swojemu, rzeczy – weźmy tu chociażby znaną wypowiedź zmarłego niedawno byłego szefa francuskiego Frontu Narodowego Jean Marie LePena, który stwierdził niegdyś, że „*wielorasowe i wielokulturowe społeczeństwa to społeczeństwa wielokonfliktowe*”. Ta wypowiedź nie stanowiła oczywiście „mowy nienawiści” w tym sensie, by znieważała ona jakąś grupę rasową – lub jeszcze inną – bądź nawoływała do nienawiści przeciwko takiej grupie. Tym bardziej już nie nawoływała ona do popełnienia żadnego przestępstwa, ani też żadnego przestępstwa nie pochwałała. Z pewnością nie dałoby się w sposób rozsądny twierdzić, że wypowiedź ta była bezpośrednio niebezpieczna, w tym sensie, że z dużym prawdopodobieństwem mogła ona w krótkim czasie doprowadzić do wybuchu przemocy. Ale czy nie da się mimo wszystko twierdzić tego, że wypowiedź ta była tak – mniej więcej – niebezpieczna, jak niebezpieczna, zdaniem zwolenników jej karalności, może być niewątpliwa „hate speech” – taka np. jak tekst piosenki zespołu Deportacja 68, w którym padają słowa „*Gdy będę miał pieniądze to kupię palkę, gaz, I wyjdę na ulicę i krzyknę „Jude Raus”! Gdy będę miał pieniądze to kupię palkę, gaz, I wyjdę na ulicę i krzyknę „Jude Raus”! Biała siła, Oi! Biała siła, Oi! Cyganie i Żydzi to gówno to bydło, Z jednych będzie nawóz, z drugich będzie mydło. Cyganie i Żydzi to gówno to bydło, Z jednych będzie nawóz, z drugich będzie mydło. Biała siła, Oi! Biała siła, Oi!*”? Jakkolwiek trudno tu jest być wszystkiego pewnym, wydaje mi się, że tekst piosenki „Deportacji 68” jest tak skrajnie obelżywy i

nienawistny, że można go wręcz odebrać jako tekst w pewien sposób humorystyczny, swego rodzaju karykaturę (dodam, że wrażenie karykaturalności tego tekstu potęgowała towarzysząca mu wyjątkowo prostacka muzyka – tak przy okazji, moja nie jest, mam nadzieję, gorsza). Istnieje realne niebezpieczeństwo, że u kogoś pod wpływem nasłuchania (czy nacytania) się takich tekstów narodzą się przekonania i emocje, które popchną go do popełnienia przestępstwa z nienawiści? Otóż sądzę, że coś takiego nie jest po prostu absolutnie wykluczone, ale niebezpieczeństwo to jest w najlepszym wypadku palcem na wodzie pisane. Nie zetknąłem się w każdym razie z żadną informacją o jakiejś sprawie, w której twierdzono by, że to wspomniany tu tekst w jakiegokolwiek mierze, niekoniecznie jako jasno wyodrębniony czynnik, przyczynił się do dokonania przez kogoś kryminalnego czynu. Co jednak z wypowiedzią Jean Marie LePena o wielokonfliktowości wielorasowych i wielokulturowych społeczeństw? Ta wypowiedź, podobnie zresztą jak wspomniana tu również piosenka „Deportacji 68” nie była bezpośrednio niebezpieczna. Lecz zwolennicy zakazów (np.) „mowy nienawiści” są zdania, że prawnie zakazane powinny być nie tylko wypowiedzi bezpośrednio niebezpieczne (czyli np. podburzanie już agresywnie nastawionego tłumu do fizycznego zaatakowania kogoś), ale także takie, które w jakiś pośredni sposób mogą przyczynić się do (np.) przemocy, czy dyskryminacji w bliżej nieokreślonym przyszłym czasie. I teraz zachodzi pytanie: czy przekonanie o wielokonfliktowości wielorasowego i wielokulturowego społeczeństwa nie może stać się w przypadku jakichś ludzi podłożem podjęcia z ich strony działań – niekoniecznie przy tym pokojowych i zgodnych z prawem - mających doprowadzić do zmniejszenia wielokonfliktowości społeczeństwa poprzez zmniejszenie jego wielorasowości i wielokulturowości? Takie niebezpieczeństwo też oczywiście nie jest poważne. W ogóle, zdecydowana większość ludzi w krajach zachodnich, czy choćby w takim kraju, jak Polska nie jest podatna na przekonywanie ich do jakichś skrajnych ideologii – a więc ideologii zakładającej nienawiść do jakichś ludzi z tego tylko powodu, że są oni jakiegoś narodowości, rasy, czy wyznania, albo ideologii zakładającej radykalne i gwałtowne zmiany społeczne. Lecz o takim niebezpieczeństwie też przecież nie można powiedzieć, by było czymś absolutnie niemożliwym to, by – w jakimś pośrednim następstwie powiedzenia czegoś, co – w sensie prawnym przynajmniej – nie jest „mową nienawiści”, mogło ono zaistnieć.

Istnieje wreszcie moim zdaniem argument dotyczący karania za „ekstremistyczne” wypowiedzi (czy przynależność do ekstremistycznych organizacji), który odnosi się może nie tak bardzo do po prostu jakiegokolwiek karalności takich wypowiedzi (bądź za udział w jakichś organizacjach) ale który z pewnością ma zastosowanie wobec wsadzania autorów takich wypowiedzi (bądź członków jakichś skrajnych organizacji – w każdym razie, za samą przynależność do nich), do więzień. Zwolennicy wsadzania do kryminału rasistów, antysemitów, neonazistów itd. mogą oczywiście uważać, że pozbawienie takich ludzi wolności uniemożliwia im szerzenie swoich poglądów – i potencjalnie niebezpieczne wpływanie na podatne na nie osoby – a także może zniechęcić ich do przyszłego popełnienia przestępstw (nie zapominajmy jednak, że procent ludzi, którzy ponownie popełniają przestępstwa jest w ogóle bardzo wysoki) i odstraszać podobnych sobie od przyszłego ich popełnienia. Lecz nie można zapominać o jednym: to prawda, że w więzieniu rasista, antysemita, neonazista czy homofob nie będzie miał szerokiej publiczności. Może być tak, że

jego jedynymi słuchaczami będą osoby siedzące razem z nim w celi. Lecz takie audytorium, choć liczebnie niewielkie, może być audytorium szczególnie wrażliwym na głoszone przez niego przesłania. Uwięzienie kogoś za wygłaszane przez niego poglądy może więc przyczynić się np. do tego, że siedzący razem z nim bandyta stanie się bandytą nabuzowanym ideologią. Z oczywistych względów do takich sytuacji nie należy doprowadzać – i z tego m.in. powodu nie należy wsadzać ludzi do więzień za wygłaszanie przez nich najbardziej nawet ekstremistycznych poglądów.

[Strona główna](#)